

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Bibliotece Polskiej, 6, quai d'Orléans.

w Księgarni Polskiej, 20, rue de Seine-St-Germain.

N^o 18.

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Księgarni A. Francka, 67, rue de Richelieu.

w Londynie: u p. A. Krasieńskiego 10, Duke Str. St-James's.

Cena prenumeraty:

Na rok. fr. 20

Na pół roku. fr. 10

Na trzy miesiące. fr. 5

Dziennik wychodzi co tydzień,
w **SOBOTE**.

DNIA 2 CZERWCA 1860 ROKU.

(Wszelkie zgłoszenia dotyczące się niniejszego pisma, tudzież przesyłanie reklamacyj i listów, mają być adresowane: a M. J. K. Ordyniec, 6, quai d'Orléans, a Paris.)

MELOMANIA WARSZAWSKA.

I

Kiedy lat temu parę, pismo nasze umieszczało artykuły o sztuce polskiej, trwał jeszcze w Warszawie, a za nią nieledwie w kraju całym, niezwykły, choć rzadko na znajomości oparty do malarstwa zapad. Od owej chwili usposobienie się zmieniło. Warszawa, która podczas wojny krymskiej protegowała gorąco malarstwo, teraz, moźnaby powiedzieć, od czasu wojny włoskiej, wyłącznie oddała się muzyce.

Gdyby zadaniem pisma naszego być mogło, występować w interesie samej sztuki, której cel i wysokie posłannictwo uznajemy, i oceniamy zarówno z jej najgorliwszymi, byle istotnie powołanymi zwolennikami, tobyśmy się starali przede wszystkim wykazać, że fałszywy dyletantyzm, zrodzony u nas nieumiejętnem i nieumiarowanym rozpisywaniem się o sztuce, jest najszkodliwszym i samej sztuki i prawdziwych artystów przeciwnikiem. Gdybyśmy znowu potrzebowali dowodów na to, że entuzjazmy fałszywe nie bywają trwałe, i że nierzetelne zajmowanie się sztuką, tylko modę przelotną wyrodzić jest w stanie, tobyśmy takowe dowody znaleźli w samych objawach owego dyletantyzmu, wyrażanych przez dzienniki krajowe, a wskazujących z jaką łatwością umiemy przerzucać się z jednego fałszywego entuzjazmu w drugi, zachowując jedną tylko wytrwałość, wytrwałość w poświęcaniu ważniejszych względów i obowiązków dla chwilowej rozrywki i zabawy! Dzisiaj coraz rzadsze o malarstwie wzmianki zdradzają wprawdzie tę samą, co dawniej, nieznajomość rzeczy, lecz i przekonują zarazem, że już nikt prawie nie troszczy się o prace malarzy naszych, że wystawy nie wiele kto odwiedza, i że wreszcie niejedyn z protektorów narodowej sztuki, poprzestawszy na tytule mecenasa, jakim go zgóry dzienniki uwieńczyły, więcej o malarzach wiedzieć nie chce.

Muza sztuk plastycznych, wyraźnie ustąpiła przed muzą harmonii.

Dzisiaj pisma krajowe zapełniane są wyłącznie sprawozdaniami koncertowymi: donoszą nam one codziennie, powtarzamy codziennie, i o krajowych znakomitościach, które nie zawsze znalazłyby uznanie za granicą, i o zagranicznych wędrownych sławach, które najczęściej dopiero w Warszawie, dyplom na wielkość zyskują. Ktoś nieobznajmiony z miejscowymi stosunkami, mógłby wziąć dwa główne pisma warszawskie, za dwie muzykalne gazety i pełen zdziwienia zapytać, co się zostanie na pastwę *Ruchowi muzycznemu*, gazecie jedynie poświęconej muzyce, co wreszcie *Kuryerkowi*, który zdawna miał wyłączny przywilej śledzenia gwiazd błędnych i błakających się na pewnym horyzoncie sztuki i rozdawania im patentów na «kolosalne» sławy? Do niego to z prawa powinni należeć wszyscy wędrowni arfisarze i gitarzyści, do niego ze swą orkiestrą p. Bilse, o którym *Gazeta*

Warszawska powiada, że «nauczył nas, co może jeden człowiek silnej woli, gdy umie chcieć», do niego wreszcie panny Moesner, siostry Ferni i wszystkie inne tym podobne *niemiłosiernie* siostry.

Jesli podnosimy dziś głos przeciw ogłuszającej nieraz orkiestrze muzyków i dyletantów, której towarzyszą wciąż chóry korespondentów i sprawozdawców, to nie dlatego, aby tu roztrząsać większą lub mniejszą wartość artystyczną ulubionych przez Warszawę wirtuozów. Przeciw samym wirtuozom nie mamy, lecz takie, od pewnego czasu, wyłączne gonienie za muzyczną emocją, takie rozgawędzanie się o muzyce i codzienne się nią delectowanie, razić musi każdego, co szlachetniejszym wpływom muzyki nie zaprzecza, ale z potrzeb i położenia naszego sprawę sobie zdaje. I zaprawdę, nie samo znudzenie wywołać może ów brzęk ustawiczny muzycznych instrumentów i pusty szum dziennikarskich frazesów, dolatujący nas z kraju: nasuwają one i smutniejsze uwagi tym, co widzą z jaką to łatwością i publicznością i pisma nasze, umiejają sobie stawiać nieledwie w rzędzie obowiązków narodowych, to, co zaledwie na nazwę podrzędnej i chwilowej zabawy zasługuje, co najczęściej żadnego piętna prawdziwej sztuki nie nosi. A każdy w kraju niezagłuszony jeszcze i nie chcący się zagłuszać, może bez przesadzonej zapytać obawy: czy owym umysłem zasłuchanym w dźwięki fortepianów, śledzącym poruszeń wszystkich smyczków zagranicznych i miejscowych, przypominają się jeszcze i stają na myśli te głosy, jakichby słuchać w naszym położeniu potrzeba? Czy wreszcie te dusze rozlechtywane i denerwowane dyletantyzmem, potrafią kiedyś zająć miejsce w szeregach obywateli na dzisiaj, żołnierzy na jutro?

Tym może właśnie, co mają istotnie muzykalną duszę, najprędzej uprzykrzyć się jest w stanie, ów niepoohamowany muzyczny popęd, podsyćany wciąż przez dzienniki nasze, a w którym, jak w niejednej tegoczesnej operze, więcej podobno hałasu, niż istotnej muzyki. To też wielu, sądźmy, wraz z nami oczekuje, aby w tej mierze nadeszła już chwila opamiętania się i pomiarkowania. Tej chwili najgorliwsi krzewiciele sztuki życzyliby sobie powinni, choć z tej tylko obawy, aby to, co miało obudzić rozsądne społeczeństwo, nie wywołało w końcu tylko przesyty i znudzenia.

Kilka lat temu, jeden z francuzkich pisarzy, mający w sąsiedztwie swoim zastraszającą liczbę fortepianów, chciał do istniejących podówczas izb podać petycję, aby wszystkich fortepianistów deportowano na jedną z małych, a bezludnych wysp Sekwany; chciał, by tam trzymani pod strażą, tylko w dzień dawania koncertu pojawiali się w Paryżu i to eskortowani przez żandarmów, a zaraz po popelnionym koncercie, odstawiano by ich znowu na miejsce wygnania; żądał dalej, aby wyspa ta wymijana była przez wszystkie statki i łodzie!

Podobnego projektu nikt wprawdzie u nas nie podał, ale czytaliśmy inny dowodzący, że inwazyja fortepianów zwraca na siebie uwagę Warszawian. Jedną z acna war-

szawska dama rzuciła myśl, aby opłacano podatek na dobroczynne cele od tych muzycznych instrumentów. Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności, że w Warszawie ma być 78,387 fortepianów!...

II

Nie od dzisiaj objawiała Warszawa swoje muzyczne skłonności i upodobania, lecz terazniejszy jej popęd na tej drodze, dochodzący nieledwie do szału i monomanii, można datować od pamiętnej odezwy, którą p. Kątski napisał, obejmując dyrekcją instytutu muzycznego. Odezwa ta donosi « o otwarciu nowej drogi służenia sprawie publicznej, » wspomina o « cywilizacyjnych i moralnych wpływach muzyki » która ma być u nas « kwiatem ogólnego wykształcenia; » kończy wreszcie oznajmieniem, że gorliwość kraju dla tej nowej instytucji « będzie dowodem wdzięczności N. Panu za pozwolenie i pomoc daną! » Tej pierwszej odezwy poparł p. Kątski drugą, do znacznych rodaczek wymierzoną: przemawia w niej do Polek, jako do « matek i chrześcianek; » w imieniu zakładu mającego być « owocem, przedstawicielem miłości, solidarności i poświęcenia obywateli dla pożytku i dobra krajowego! »

Nie tylko nie mamy przeciw instytutowi muzycznemu, ale jesteśmy gotowi uznać do pewnej miary jego pożytek, a jeśli nowy ten zakład, potrafi dać krajowi dobrych organistów, nie będziemy nawet po nim wymagać innych cywilizacyjnych wpływów. Lecz sądzimy, że p. Kątski, który jest utalentowanym i mającym uznanie w kraju artystą, może bardziej, niż kto inny obowiązany jest dać przykład tego taktu i miary, jakie muzyka zachowywać winna. Gdyby dyrektor instytutu muzycznego miał przytém na uwadze inne prawdziwsze i ważniejsze, narodowe i publiczne potrzeby, nie odzywałby się może do Polek z tym potrącającym o patryotyczne strony liryzmem, z jakimby się chyba wolno było do naszych kobiet odzywać, aby synów na dzielnych obywateli kształciły, lub żeby szarpie robiły dla walczących o wolność żołnierzy. O! gdyby ten takt i miara wszystkim naszym artystycznym kierunkom i pracom przewodniczyły, nie podnoszonyby tak nierozważnie do wysokości narodowego i obywatelskiego znaczenia tego, co nie raz bardzo względna ma wartość, i na polu narodowym i na polu sztuki, nie obalamowałyby się umysły tak nieskore do uznania rzetelnych obowiązków, w których wytrwać trzeba, a tak pochopne do wynajdywania sobie celów, któremi bez wielkich walk i trudów zaspokoić się można. Zyskałby na tém i ustalił się zdrowszy sąd w narodzie, zyskałaby wreszcie i sztuka sama, której potrzeba, jak każdej wznioślejszej idei, wielkodusznych a sumiennych mistrzów, i prawdziwych a nie sztucznie nastrojonych wyznawców.

Nie wiemy, o ile odezwy p. Kątskiego przyczyniły się do powiększenia składek, ale zdawałoby się, że jego frazes o miłości, solidarności i poświęceniu wzięto u nas dosłownie. Miłość dla muzyki objawia się teraz aż do przesytu, solidarność panuje zupełna, bo wszyscy sprawodawcy warszawscy i korespondenci prowincjonalni donoszą, rozpisują się o każdym, choćby tylko amatorskim koncercie, i czynią to nieraz z poświęceniem takich doniesień, coby daleko więcej obchodzić nas mogły niż wystąpienia wielu wirtuozów i śpiewaczek, posiadających najczęściej imiona, równie obce dla naszych uszu, jak i nieznanne w prawdziwej sferze sztuki. Zdawałoby się, czytając te sumne dytiramby, rozbiory muzyczne i krytyki, jakoby potrafiono już nieledwie wmówić w polską publiczność, że muzyka jest jedyną z najpierwszych i najświętszych naszych powołań, i że instytut muzyczny ma przeznaczenie kształcić nie tylko skromnych organistów, ale obywateli i mężów publicznych.

Tym niezręcznym a upartym krzewicielem, nie sztuki lecz dyletantyzmu, strojącym chwilowe swe upodobania w barwę patryotyczną, tym wszystkim oszukującym się z umysłu lub, oszukiwanym przez niewiedomość, powinienby jaki poważny głos w kraju dowieść, że ów dyle-

tantyzm okazujący na każdym kroku brak znajomości, tylko śmieszność do imienia artysty przywiązać może; że wreszcie nie mające miary ni taktu uwielbienia, wieńczące nie ledwie tym samym bukietem kwiatów sztucznych i pośmiertną lirę Chopina, i pierwszą lepszą arfę lub gitarę zbląkaną do Warszawy, muszą każdego człowieka mającego, już nie poczucie sztuki, ale sens zdrowy, zrazić a w końcu i oburzyć!...

III

Gdyby tu tylko o większy lub mniejszy pożytek sztuki i artystów chodziło, zostawilibyśmy czasowi, aby uprzątnął te kruche materyały, z którymi świątyni prawdziwej sztuce zbudować nie można. Lecz to, co u nas rzadko estetycznym odpowiada wymaganiam, obraża najczęściej wyższe od nich, etyczne prawa, a to co nie jednemu duchową wydaje się rozrywką, odrywa podobno ducha od ważniejszych, świątszych obowiązków.

Sztuka a życie publiczne, tak jak sztuka i moralność, nie są to wprawdzie « dwa na słońcach swych przeciwne bogi, » ale stanowią one dwie odmienne, na właściwych sobie prawach i warunkach istniejące sfery. Mogą się one i powinny nawzajem przenikać. Grecya i Italia dają nam tego szczęśliwy, choć wyjątkowy w dziejach przykład; lecz mieszać je w pojęciu i naciągać ku sobie sztucznie a nieumiejętnie, bez wyrodzenia fałszów szkodliwych nie można. Tak jak wszystkie naciągane usiłowania, aby zmoralizować sztukę, robią ją tylko pedancką i jałową, tak znowu widzimy, że moralność i obowiązki obywatelskie, przystrojane w romantyczne a nieokreślone barwy sztuki, prowadzą do obłędu i istnych dziwolągów.

Sztuka, i moralność, i miłość ojczyzny sama, mają wszelako jeden punkt wyjścia, jedną zasadę wspólną, której nikt zaprzeczyć nie może: dowodzą one człowiekowi, że nie jest jednodniówką rzuconą na igraszkę, bez żadnego z przeszłością związku, bez żadnej przed przyszłością odpowiedzialności. Niechajby tą prawdą przejęli się nasi krzewiciele i podpieracze narodowej sztuki; niechajby pamiętali, że wszystko, co istotnie nie podnosi ducha w narodzie, co o przeszłości nie mówi dobitnie, a przyszłości wyraźnie nie stawia przed oczy, że to wszystko może być tylko zabawką chwilową, rozrywką nie zawsze w położeniu naszym niewinną, ale zaiste sztuką narodową nie jest. Sztuka, jak chętnie powtarzają u nas, daje skrzydła do górnego lotu, unosi w sfery wyższe, duchowe. Uznajemy tę prawdę, lecz cóż powiedzieć, czego się spodziewać po niedołącznym artyzmie, który czas przepędza li na admiirowaniu swych skrzydeł, skrzydeł jakich nie używa nawet do « chmurnego lotu Ikara, gdzie zasługą upaść z chmur, » ale które służą mu tylko do podlatywania, obyczajem ptastwa domowego, z jednej, często mętniej sadzawki na drugą.

Jeszcze raz powtarzamy, że szlachetniejszym wpływem muzyki bynajmniej nie myślimy przeczyć; wiemy że jest ona w stanie budzić i ożywiać narodowe uczucia: ale czyż je budzi lub ożywia ten, równie łatwy jak niepomarkowany zapał dla każdego zagranicznego wirtuoza lub śpiewaczki, to rozpisywanie się codzienne o koncertach, zdradzające że raczej nam chodzi o naśladowanie francuzkiego żurnalizmu, niżeli o własnego kraju potrzeby i pożytek. Ktoś niedawno z humorem, a może nie bez słuszności powiedział: nie pytaj warszawiaka przybyłego do Paryża, co się u niego w kraju dzieje, co słychać w innych polskich prowincjach, ale go pytaj na jakim gra instrumencie lub jakim głosem śpiewa! Czyż i baczniejszemu umysłowi, pragnącemu z dzisiejszych objawów jutrzejszą przyszłość odgadnąć, nie może się nastreścić jedno bolesne przypuszczenie, jedna pełna smutku obawa? Oto obawa, że zejść jeszcze możemy na jakiś biedny naród melomanów, dzisiejszym Czechom podobny, dostarczający zagranicy błędnych menestrelu, i że ta Europa co nas znała jako dzielnych rycerzy, lub nieszczęścia kraju przypominających wygnańców, ujrzy w nas kiedyś

wędrownych muzykantów i tyle też wtedy o Polakach wiedzieć i pamiętać będzie, co dziś wie i pamięta o Czechach.

Być może, spotka nas zarzut, że jesteśmy zbyt surowi dla goniących za rozrywką muzyczną, że obawy nasze są przesadzone, a niejeden dorzuci jakąś uwagę o tej goryczy, którą bezmyślni lub obojętni tak łatwo upatrują w każdym sądzie surowszym, co doszukując się sumienia narodu, musi niekiedy « sięgnąć do wnętrza i zatargać. » Lecz, Bogu dzięki, nie wszyscy w kraju mają umysł przysłuszony brzękiem instrumentów, lub wykrzywiony fałszywymi pojęciami o sztuce: są jeszcze u nas roztropni jej wielbiciele i prawdziwi artyści, którzyby sobie nie życzyli « bawić się zwiedłemi kwiatami na grobie, » dla których żaden olymp sztuki nie zastąpi utraconego raję narodowej swobody. Ci ocenią pobudki z jakich te słowa piszemy. Tylko tym lekkomyślnym, a nałogowym admiratorom wszystkiego bez różnicy, zapalającym się najczęściej na zimno, będą się one przesadzonemu wydawać, i tym co próżniaczym dyletantyzmem usiłują wypełnić próżnię, jaką w umysłach naszych wychowanie moskiewskie zostawia. Możeby i oni wyrażone tu obawy podzielili, gdyby chcieli na chwilę, uciszyć swe fortepiany, oderwać uszy od brzęku gitar przejeżdżnych, nad którymi się rozpisują, gdyby otworzyli duszę na inne głosy i wspomnienia! Często wystarczy zmienić atmosferę, w jakiej się żyje przez nałóg, aby uwierzyć w prawdę słów, które się odpycha przez upór. Lecz dla tych amatorów, mających nienarodowe ale parafialne pojęcia o sztuce, świat zdawałoby się zamkniętym jest rogatkami stolicy; radziby oni przemienić Warszawę w jedną koncertową salę; a jeśli opuszczają jej mury, to na to chyba, aby posłuchać jakiejś orkiestry szląskiej w jakimś zamiejskim ogrodku. Zdawałoby się, że między «porankami muzycznymi» a «wieczorami symfonicznymi» czytają same sprawozdania o koncertach i teatrach! Cóż dziwnego, że żyjąc w takiej sztucznej sferze, zrobili sobie z dyletantyzmu cel i potrzebę życia, że w nim upatrują duchowe strony i cywilizacyjne wpływy?

Jakże więc przemówić do umysłów, co myśleć nie przywykły, jak poruszyć sumienia, które zakłócić się nie dają, jak przerwać to zadowolenie i spokój, nie będące wcale olimpijskim spokojem, ale przypominające raczej bezmyślną odrętwiałość Iliotów, odurzanych napojem i tańczących dla zabawy panów przy dźwięku muzyki. O! łatwiej pokonać choćby najfałszywsze przekonania, łatwiej opór stawić politycznym lub religijnym fanatyzmowi, jak walczyć z owym dyletantyzmem nieujętym a jednak szkodliwym, który będąc negacją wszelkiego prawdziwego życia, potrafi się obejść bez głębszych przekonań; i łatwiej zaiste tamę położyć bystremu potokowi, co rwie i niszczy brzegi, niżeli poradzić sobie z bagnem wody stojącej, wśród którego rzesza żab obrzydłych koncerta swe odprawia!

IV

Jeżeli co w polskiej publiczności poszanować należy, to niezawadnie owe uczucie, z jakim przyjmuje ona wszystko co swoje, co nasze, z jakim obecnie przyklaskuje pełnym talentu i narodowego piętna utworom Moniuszki. Nikt przeciw temu uczuciu i jego pobudkom występować nie będzie; nikt także w wątpliwość nie poda wielu istotnych, u nas, muzycznych zdolności. Lecz między nainnym, zdrowym nieraz instynktem publiczności, a prawdziwe uzdolnienie mającymi artystami, staje zaraz, fałszywe najczęściej amatorstwo z pseudoznawców i krytyków złożone. Rozpisze się ono, rozgawędzi o sztuce po wszystkich dziennikach; artystom prawie będzie o ich kapłaństwie, publiczności o «ressurekcyjnych wrotach jakie otwiera muzyka,» każde chwilowe upodobanie, pokusi się rozdmuchać «w ognie obywatelskiego ducha;» wszystko zamąci, wypaczy, wykrzywi i chcąc podnosić sztukę, zrobi z niej istną *mystyfikacyę*, kryjącą się

w mgłach równie fałszywych jak niezrozumiałych frazesów! Publiczność traci swoją instynktową trzeźwość i przytomność; uwierzy, że admiracya wszystkiego jest prawdziwą oznaką artystycznej duszy, zacznie gonić za każdym błędnym ognikiem na horyzoncie muzycznym; chce dowieść prawdziwości swych upodobań, gotowa dla nich zapomnieć wszystkiego, i tak obalamucona, uczucia, które w źródle swém i pobudkach mogły być czyste i nieklamane, przemieni na mętny, fałszywy a z niejednego względu szkodliwy dyletantyzm.

Taki, zdawałoby się, coraz upartszy a zdrożny kierunek, wymagający by go zamiłowaniem sztuki nazywać, znajduje niekiedy poparcie u poważniejszych nawet pisarzy, którzyby i sąd zdrowy obudzać i do opamiętania wołać powinni. Ci nawet, którym odmówić nie można ani pewnego estetycznego wykształcenia, ani czulszej bacności na potrzeby krajowe, mają dla tego fałszywego kierunku pobłażanie, z trudnością dające się usprawiedliwić. Zdawna do takiego pobłażania przyzwyczaili nas pisma warszawskie, lecz nie bez pewnego zdziwienia spotkał się nie dawno w *Dzienniku Literackim*, lwowskim, artykuł znanego dobrze krajowi poety, który świeżo z taką mocą i ogniem pęparł sąd emigracyi o wileńskich literatach. W artykule tym, autor listów z pod Lwowa, staje niejako w obronie melomanii warszawskiej. «Nie bierzcie Warszawy za złe, mówi on, zbytignego hłodowania sztuce i »nervowego gonienia za emocyą... Maż ono być grzechem Warszawy? Nie urągajcie chorągwi królowej.»

Odpowiemy pocie, który tak wzniosłym, tak pięknym głosem skargi Jeremiego wyśpiewał, że są słabości wymyślone, winowione, a uparte jak kaprys dziecka, dla których nie zawsze spólcucie mieć można; a kto przeciw takim słabościom powstaje, dlatego właśnie, że przeszkadza odzrodzeniu, ten nie uraga, ten pragnie ulcezyć.

Sztalachie — żołnier — humorysta, słowem! nieoceniony Pasek, w jednym miejscu wspomina, że hetman Czarnecki, złożony chorobą pod wojennym namiotem, kazał aby mu grano na cichych instrumentach... Ów hetman dostojny, powalony trudami na obozowem łożu, szukający rozrywki w muzyce między jedną bitwą a drugą, jakże piękny i rozrzewniający przedstawia widok! Lecz «chora królowa» jak ją nazywa poeta, lechtająca ciągle osłabione nerwy muzyką, zagłuszająca się nią między wczorajszym balcem a jutrzejszym teatrem, między przeszlorocznym przyjmowaniem cesarza, a obiecany na teraz jego przyjazdem, ta chora królowa, kiedy w swęj słabości okazuje upodobania do żywych obrazów, co obrażają godność narodową, i kiedy goni za wszystkimi przejeżdżnymi trubadurami i menestrelami, ta chora królowa nie może wtedy współuczucia wywołać, nie powinna też znaleźć i pobłażania!... Niechajby i ona, jak ów hetman dostojny, naprzód «urosla z tego co boli» a potem dopiero niechajby jej grano na wszystkich cichych i głośnych instrumentach, daj Boże i na surmie bojowej!

Zyjemy dziś w czasach ważnych i poważnych. Oto zdaje się, że narody patrzą sobie w oczy nawzajem i śledzą jakie tam gra życie, jakie pulsa biją w tętnie duszy. To też w czasach takich, nie naśladujemy braci naszych muzycznych Czechów, ale się patrzymy na Włochów, na Węgrów wreszcie. Przypomnijmy sobie, że Medyolańczycy i Wenecyanie, miesiącami na opery nie chodzili, dlatego tylko, by tam nie spotkać austriackich mundurów; a było to ze strony, tak gorąco, tak istotnie kochającego sztukę narodu, niemałe poświęcenie!

O nie tylko na polu sztuki, Włochy nam mogą być dzisiaj mistrzami!... Jak oni, tak każda uciśniona narodowość powołana być może z kolei, by wydać z piersi głos świadczący jeszcze o siłach jej żywotnych. Aby być gotowym na chwilę taką, aby wziąć udział w tym koncercie ludów, inaczej dziś światu przypominać się trzeba aniżeli dźwiękiem *siedmiudziesiąt tysięcy fortepianów!*

Rossyi, żywe zajęcie obudziło w francuzkiej publiczności, dzienniki francuzkie wstrzymały się od przecież rozbioru tej książki, ale nie z własnej, ile wiemy, woli. Jeden tylko *Courrier du Dimanche* ogłosił artykuł krytyczny, którego autorem był rodak księcia Dołgorukowa, p. Miszensky. Zdawszy sprawę z samego dzieła, uważamy za stosowne donieść, choćby w tej spóźnionej wzmiance, o rozbiórce krytycznym: tém bardziej, że polemika jaka się ztąd wywiązała, doprowadzić może do odkryć ciekawych i jednego więcej dostarczyć szczegółu do charekterystryki Rossyan.

W artykule swoim, p. Miszensky więcej zajmował się autorem, niż książką. Kryjąc nazwiska i w sposób tajemniczy opowiada on, że w chwili kiedy chciał pisać krytykę *pewniej genealogiczuej pracy* o rodzinach obcego narodu, przysłano mu list jej autora, w którym tenże domagać się miał, od jednego z wysokich dostojników Rossyi, pięćdziesięciu tysięcy rubli, za zniszczenie nader ważnych dokumentów genealogicznych. — Zarzut ten widocznie, stosował się do ks. Dołgorukowa, który jak wiadomo podobną pracę był ułożył i ogłosił. Odpowiadając więc na oskarżenie, autor *Prawdy o Rossyi* zdiera śmiało tajemnicę i wymienia osoby, których trudno się było domyślić ze słów p. Miszenskiego. Mówi książę « że gdy podczas ostatnich lat swego pobytu w Rossyi, zamierzał być wydać czwarty tom *Geneologii*, doszły go prośby księcia feldmarszałka Michała Woroncowa, aby pochodzenie jego rodu wywiódł od starożytnych bojarów tegoż nazwiska, co dowodami miało być stwierdzone. Zgłosił się po te dowody ks. Dołgoruków, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy w ich miejsce otrzymał list od ks. Woroncowa, dający mu do zrozumienia, że przy piśmie jego znajdowała się kartka, *inną wprawdzie napisana ręką*, ale wyrażająca żądanie pięćdziesięciu tysięcy rubli! Oburzony tém ks. Dołgorukow, domagał się okazania tej kartki i nie tracąc czasu, prosił ministra policyi ks. Bazylego Dołgorukiego, aby śledztwo sądowe nakazał i cesarza o niem uwiadomił. Minister policyi odpowiedział mu wręcz, że o śledztwie nawet myśleć nie można w sprawie, która dotyczy feldmarszałka państwa i kawalera orderu Ś^o Andrzeja! Zawiedziony w swych zabiegach, książę odłożył bliższe wyjaśnienie intrygi do wyjazdu swego za granicę; wstrzymała go tylko śmierć ks. Woroncowa i część dla jego pamięci. Ale zaczepiony w sposób tak niegodny, walkę podstępnie otwartą dzisiaj przyjmuje i nie waha się oddać całej tej sprawy pod sąd publicznej. »

P. Miszensky zarzuca, że autor dzieła genealogicznego zobowiązywał się, w liście wspomnianym, usunąć i zniszczyć dokumenta dotyczące rodu Woronców. Lecz dowody te, odpowiada ks. Dołgorukow, zniszczonemi być nie mogły, bo one się znajdują w « *Księdze Aksamitnej* » drukowanej w roku 1787, obejmującej urzędowe drzewa genealogiczne i której oryginał przechowywany jest w departamencie heroldyi Senatu petersburskiego. — P. Miszensky utrzymuje dalej, że « wysoki dostojnik » roskazał autografować, na tysiące egzemplarzy, list autora *Geneologii* i że rozesał go na wszystkie strony. Ks. Dołgorukow pyta, dlaczego ani on, ani żaden z jego przyjaciół, nie otrzymał choćby jednego z tysiąca egzemplarzy, i dlaczego wiadomość o nich wychodzi na jaw, dopiero teraz, po ukazaniu się *Prawdy o Rossyi*? Wkońcu wzywa p. Miszenskiego, aby okazał kopią listu, o którym wspomina i wymienił osoby co mu jej dostarczyły; w przeciwnym razie, zagraża i jemu, i redaktorowi francuzkiego dziennika, odpowiedzialnością przed trybunałami.

Taka jest odpowiedź autora *Prawdy o Rossyi*: zbyt żywo ona dotyka honoru ks. Woroncowa, aby i z drugiej strony jakichś objaśnień nie miała wywołać. Zmarły feldmarszałek wychowany był w Anglii, nawykły do zachodniej cywilizacji, pod względem charakteru swego i postępowania, tak w kraju jak zagranicą, uważany jako wyjątek między panami i dygnitarzami rossyjskimi. To wszystko jest niewątpliwe: atoli i dowody ks. Dołgorukowa tak są przekonujące, że żadnej także, rzec można, wątpliwości nie zostawiają. Przypuszczać zatem trzeba,

że ks. Woroncow, albo uległ nierozważnej namowie, albo też dał się uwieść podstępowi, do którego może wyższa jeszcze wnięszala się ręka. — Cożkolwiekbydź, my nie mamy powodu rozsądzania tego sporu czysto rossyjskiego; zbytecznym byłoby także rozszerzać się z uwagami, jakie ztąd, same z siebie następują, o obyczajach i moralnym stanie narodu, w którym najzacniejsi nie gardzą tak niegodnymi środkami, a najwyżsi nawet potrzebują tłumaczyć się z zarzutu przedajności! Nam dosyć na tém, że p. Miszensky, wywołując tę sprawę nie osłabił w niczém twierdzeń o Rossyi, jakie dzieło ks. Dołgorukowa zawiera, że owszem dostarczył nowego dla nich dowodu i wcale niespodzianego komentarza. W podobny też sposób, osądziła zapewne, tę sprawę, redakcyja francuzkiego dziennika, gdy wskutek odpowiedzi autora, następnie umieściła oświadczenie: « Wielu z naszych czytelników domaga się od nas szczegółowego sprawozdania z dzieła ks. Piotra Dołgorukowa o Rossyi. Uczynimy zażość temu żądaniu, z tém większą przyjemnością, że z jednej strony dzieło rzeczone obejmuje wiele trafnych i ciekawych spostrzeżeń o administracyi rossyjskiej, z których niemało wyciągnąć można nauki, że z drugiej, podobne uwagi nad *Prawdą o Rossyi*, które nam niedawno przesłał nasz korespondent, nie zgadzają się we wszystkim z naszym przekonaniem. Sprzecznosc ta w tém szczególniej zachodzi, że najzu pełniej oceniamy wzniosłe i szlachetne uczucie, które autora skłoniło do napisania książki, co tyle nienawistnych porusza dzisiaj namiętości... »

KRONIKA.

Dnia 18. Maja, przybył do Poznania, koleją żelazną, nowy naczelny prezes W. Księstwa, p. Bonin, i tego samego dnia przyjmował u siebie władzę administracyjną i miejską. — W liście odebranych z Poznania czytamy. « Jakie wrażenie na tutejszej publiczności zrobiła interpelacyja p. Niegolewskiego, nie trudno się domyślić. W dwaście godzin po ogłoszeniu przedruku z *Dziennika Poznańskiego*, sprzedano tysiąc pięćset egzemplarzy tej interpelacyi. Mowę posła i wyjątki z listów czytano w głos, na placu i po ulicach; czytały nawet przekupki siedząc przy straganach. — W tutejszej gazecie niemieckiej ogłosił p. Mirbach, viceprezes Regencyi Poznańskiej, odpowiedź p. Niegolewskiemu, w której zaręcza, że od czasu, kiedy on zastępuje p. Puttkamera, prezydium regencyi nic o prowokacyach policyi nie wiedziało. Tak, jak jest napisana (a inaczej na pisać prawdopodobnie nie było można) odpowiedź tajest potwierdzeniem większej części zarzutów p. Niegolewskiego. »

— Odbieramy Numer 4 *Dziennika Urzędowego Gubernii Płockiej*, w którym ogłoszona jest kara na jednego z obywateli za to, że do dzieci swoich powazył się, bez wiedzy rządu, przyjąć nauczyciela prywatnego. Podajemy tę ciekawą próbkę zlagodzonego systemu Alexandra II.

« *Rząd Gubernialny Płocki. Wydział Administracyjny, Sekcyja Oświecenia.*

» Felix Borowski, b. fabrykant gorzelnicy we wsi Zielonej powiecie mławskim, decyzyą JW. Kuratora okręgu naukowego warszawskiego z d. 19 listopada (1 grudnia) 1858 r. za przyjęcie do swych dzieci *nauczyciela nieupoważnionego*, skazanym został na karę pieniężną rsr. 22 kop. 50; — że zaś tenże z miejsca poprzedniego zamieszkania wydalil się i obecnie z pobytu wiadomym nie jest, poleca przeto wójtom gmin i burmistrzom miast, aby śledztwo pobytu i funduszów wspomnianego Felixa Borowskiego w obrębie swęj administracyi zarządzili, w razie wykrycia ściągneli kwotę rsr. 22 kop. 50 i takową do Banku Polskiego franco odesłali; w każdym zaś razie o skutku śledztwa w dniach 20 złożyli raporta właściwym Naczelnikom Powiatów. — Płock dnia 8 (20) stycznia 1860 r. —

Za Gubernatora Cywilnego, Radzca Gubernialny: Krokowski. — Za naczelnika kancelaryi, Radzca Honorowy: Dorożyński P. »

Redaktor, JAN KAZIMIRZ ORDYNIEC.

W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Mignon, 2.